Rozmaitości

Dnia 7. marca N^er. 9. 1831 roku.

Piérwsza miłość i piérwsze upicie się.

Miałem lat ośmnaście, gdy wuj mój w zapusty r. 18.... wyrobił u rodziców moich pozwolenie, wzięcia mnie z sobą na bal wiejski do siebie. Z początku nie chcieli rodzice, choćby na czas jak najkrótszy, powierzyć wujowi losu swojego jedynaka, bo wuj ten, lubo najpoczciwsza dusza w świecie, miał jednak szczególniejsze nie raz urojenia i nałogi, ale ponieważ rodzice moi w niczém nie zwykli byli sprzeciwiać się wujowi, przystali nareszcie. Matka dała mi na drogę tyle różnych napomnień, ile sukień do okrycia się, poczém w lekkich sankach wraz z wujem cwałem posunęliśmy po gościńcu, którego śnieg pogodném słońcem rozjaśniony, tak miłą przybiérał powłokę, jak obrazy duszy mojéj.

I nie miałżem przyjemnych mieć obrazów? Bal był zawsze dla mnie uroczém zjawiskiem, a zwłaszcza bal wiejski, którego nie znałem jeszcze. Wiele już razy uwijałem się był po zabawach wieczornych stolicy, lecz wsi bynajmniéj nie znałem, a tém mniéj jéj balów. Bujna wyobraźnia moja, podsycana ciągle romansami Bronikowskiego i innych, wystawiała mi siedzibę wuja w starém rycerskiém zamczysku, z ogromnémi komnatami, schodami, kurytarzami. Salon balowy powinien był być przystrojony w smaku staroświecko-modnym, i napełniony to niewieściémi ruinami czasów dawnych, to osobami najświéższego tonu. Mężczyzn wyobrażałem sobie, jednych w kontuszach i jeszcze z ogolonémi głowy, drugich w najmodniejszych frakach paryzkich, a wszystkich śród gwaru hucznéj muzyki, oddających się czarownym balu rozrywkom.

»Co za szkaradne zimno, i przeklęta hupka!« zawołał wuj, krzesząc daremnie do fajki, i tym prozaicznym wykrzykiem wyrywając mię z mego poezyjnego uniesienia. Strącony z nieba marzeń, milcząc skrzesałem ognia. Wuj z uśmiechem pojrzał mi w twarz, i rzekł, jak gdyby zgadując myśli moje: »No jakże panie siostrzeńcze, lubisz tańczyć? — Ale spodziéwam się tego po twoim młodym wieku, i że mi wstydu nie zrobisz. Sam wybiorę ci tancerkę, a zobaczysz, że i ja mam gust dobry. Tylko mi nie zakochaj się w niéj zaraz!« Zarumieniłem się z powinności. »Lecz co ja mówię o zakochaniu,« rzecze wuj daléj, »tak skromny jak ty chłopiec, nie uczyni tego, i nie zakocha się zaraz w każdéj ładnéj twarzyczce, która obaczy.« Zaczął śmiać się i co raz gęstszy dym puszczał z fajki. Rozmową, którą ze mną prowadził, a którą w najwyższym stopniu uprzyjemnić umiał, przeszkodził mi, żem w dawne marzenie nie popadł. Mówił ze mną, jak z przyjacielem lub towarzyszem swoim, a poufałość ta, pochlebiała mi tym bardziéj, ile że w domu jak z dzieckiem jeszcze postępowano sobie ze mną.

)(

Tym czasem przybyliśmy do wioski wuja. Pomieszkanie jego nie było bynajmniéj zamkiem w smaku romansopisarzów, ale wygodny wiejski pałac. Wuj wynajmował wioskę dzierzawcy, który na folwarku mieszkał, i tylko sobie we dworze pomieszkanie wymówił. Oboje posesorstwo, ludzie bardzo godni, powitali wuja jak dawnego znajomego i przyjaciela, i mnie także, iż byłem siostrzeńcem jego, z wielką grzecznością.

Weszliśmy do dużego pokoju, i zaledwo słów kilka pomówiliśmy, gdy tuż za nami nadbiegła dziewczyna — nie dziewczyna, cud natury raczéj! była wysmukłéj, dobrze zbudowanéj, a jednak delikatnéj postaci; twarzyczkę miała lubą, na któréj zdrowie z wesołością o pierwszeństwo walczyły. Jéj ocząt nie potrafię opisać, ani przyjemnych jéj usteczek, a najmniéj wrażenia, jakie na mnie wszystkiemi wdzięki swojémi uczyniła.

»A, Zosia! Witamy, witamy!» Zawołał wuj z szybkością, ile mu to pedogra dozwoliła, porzucił posesora, z którym właśnie ciekawą rozmowę o gorzelni prowadził i przyskoczywszy ku dziewczynie, pocałował ją w rękę. Uważałem już nie raz, że ludzie wieku wuja mojego byli bardzo grzeczni dla kobiet, i że to było cechą, którą od poźniéjszego pokolenia swojego wyszczególniali się.

»Pan dobrod. tak prędko powróciłeś?.. To nas niewymownie cieszy,» mówiła dziewczyna, podając rękę wujowi. Pytała się o różne rzeczy ze stolicy, i tak była zatrudniona rozmową z wujem, że na mnie biédnego ani popatrzyła się, lubo dosyć długo stałem w pozycyi prezentowania się, a mając uczynić jéj ukłon, przypominałem sobie wszystkie *pas*, których mię tancmistrz nauczył. Posesorstwo z grzeczności wciągnęli mię w rozmowę, jednak i wtedy jeszcze zazdrośnym i ukradkowym wzrokiem poglądałem na wuja, który z Zosią wciąż, jak na nieszczęście, rozmawiał. Raptem obróciła się i pojrzała na mnie; wuj o mnie coś musiał mówić do niéj. Szeptał jéj do ucha, a potém wróciwszy z nią do kompanii, rzekł, zbliżając się ku mnie: »Zosiu, mój siostrzan, o którym ci wspominałem, wybornie tańczy i mnie przy tobie zastąpi. — Panie siostrzeńcze, panna Zofija, córka mojego przyjaciela,» to mówiąc, ścisnął dzierzawcę za rękę. Dziewczyna odpowiedziała kilka przyjemnych i grzecznych słów, i byłaby więcéj jeszcze mówiła, gdyby był nieznośny wuj mój ciągle jéj nie przerywał. Ja z mojéj strony, tém niespodziewaném przedstawieniem zmieszany, zapomniałem wszelkie *pas*, których mię tancmistrz przy ukłonie uczył, i głosem dosyć cichym, słów kilka przepomknąłem. Tyle tylko pamiętam: »Pani, mam honor — znajomość pani — w saméj istocie.» Więcéj nie pamiętałem, ale daleko więcéj myślałem przy tém. Niechże mi kto powie teraz, że dziewczęta nie są strasznémi, nie drzałem rozprawiając nie raz przed całém zgromadzeniem mężczyzn, a zadrzałem przemawiając do ośmnastoletniéj dziewczyny.

Wuj po imieniu mię nazywał, panie Wacławie, i nic więcéj. Jakżem się cieszył, żem się Wacławem nazywał, nie Kasprem lub Bartłomiejem. Jak na szczęście, wuj miał jakiś z posesorem interes i zbierali się do kancelaryi. »Zosiu, zabaw tu tym czasem pana Wacława,« rzekł ojciec.

»Wacławek gra i na fortepianie,« przemówił wuj i wskazał na fartepiano w pokoju.

»O to wybornie!» zawołała Zosia i otworzyła fortepiano. Meżczyzni odeszli, posesorowa także, a ja sam tylko z Zosią pozostałem.

»Jeźli pan pozwoli,» rzekła, »oto sonata na cztéry ręce.»

Odrzekłem jak skromny młodzian: »Bardzo dobrze, bylem tylko potrafił.»

»Próbujmy!» zawołała, i zaczęliśmy próbować. Ku sławie mojéj wyznać muszę, że grałem daleko lepiéj od niéj, lubo tę sonatę pierwszy raz w życiu widziałem. Jednakże byłoto szczęciem dla mnie, iż nie była wirtuozką, inaczéj nigdy nie bylibyśmy byli tak prędko zaprzyjaźnili się z sobą. Każdy takt zmylony miał tę korzyść,ześmy go powtarzać musieli, to nie obeszło się bez exklamacyi, przeproszeń, śmiechu, raz nawet musiałem klawisze pokazywać

jéj palcem, a tak więc ton każdy był jednym stopniem więcéj, do naszéj lepszéj znajomości. Miła naturalność dziewczyny czarowała mię, zacząłem przy niéj pozbywać zwykłéj nieśmiałości mojéj, uważałem, żem się jéj podobał. i w krótkim czasie byliśmy z sobą w zupełnéj przyjaźni.

Mężczyzni powrócili i musieliśmy odłożyć już wyuczoną sonatę. Zosia odbiegła, przez matkę zawołana, a ja jako początkowy prawnik, wmieszany zostałem w rozmowę o powinnościach poddańczych. Po czém udalismy się do stołu. Na piérwszém miejscu siedziała posesorowa; po prawéj stronie koło niéj wuj mój, przy boku Zosi. Na przeciw niéj siedział jéj ojciec, a ja koło niego. Na najniższém miejscu między mną i Zosią, siedział bardzo grzeczny mandataryjusz. Z początku był mi solą w oku, bo Zosia mówiła z nim bardzo poufale i więcéj, jak ze mną, był bowiem codziennym, zwykłym jéj towarzyszem przy stole. Mały ten napad zawiści zniknął stopniowo, im częściéj popijałem winko, które mi posesor naléwał, obeznany dokładnie z terminologiją wszystkich win Europy. Stół przy końcu obiadu podzielił się na wyższy i niższy parlament, i że tak rzekę, na starsze i młodsze grono. Grono starsze polityzowało, (a w tych czasach miało dosyć przedmiotu), wreszcie rozmawiało o gospodarstwie. Grono młodsze, ośmielone starszém, nie było także nieczynne. Naléwałem Zosi, mojemu pięknemu *vis á vis* i nawet w zbytniéj wesołości rzucałem na nią gałkami z chleba, w chwili, gdy posesor wróżył drożyznę i nieurodzaj zboża. Zosia popijała kilka razy z mojego kieliszka, i śmiała się z całego gardła z anekdot mandataryjusza, które jak z rękawa wytrzęsał.

Ledwośmy od stołu powstali, zaproponował wuj zwiedzenie pokojów po drugiéj stronie pałacu. Zosia miała nas oprowadzać. Gdy chętnie przystała na to, dał jéj ojciec klucze i wszystko troje udaliśmy się w podróż.

Szliśmy przez rząd staroświeckich pokoi, rzadkiémi meblami ozdobionych i po ścianach okrytych obrazami przodków wuja. Co za szanowne twarze poglądały na mnie z góry, regimentarze pancerni, towarzysze Jana III. pod Wiédniem, dworzanie z pod panowania Sasów, ich żony i córki w dużych fryzurach i wszérokich robronach. W innéj chwili te zabytki przyjemne na mnie byłyby uczyniły wrażenie! Ale teraz właśnie oczy moje, mój umysł tylko piękną twarzyczką zajęte były, która jaśniała przed moim wzrokiem, jak idealna piękność, współczesna z portretami na ścianie, wieńcząca czcicieli swoich świetnémi wawrzynami zwycięztwa.

Przypadkiem wuj zapatrzył się w obraz swojego dziada z czasów Augusta III. z orderem orła białego na piersiach, dziada, którego zawsze z rozkoszą sobie przypomina z piérwszych lat swojego życia, tym czasem Zosia kiwnęła na mnie, położyła paluszek na ustach i cicho za plécyma wuja otworzyła drzwi tapetowe, przez które wybiegła, ja za nią, i zasunęliśmy rygiel. Znajdowaliśmy się w dużym salonie z widokiem na góry, zrumienione ostaniémi promieniami zachodzącego słońca. W salonie tym nie było żadnych mebłów, tylko stało paradne łoże z pawilonem. »Tu wujaszek niekiedy sypia,» szepnęła mi Zosia do ucha. »Zdiwi się, gdzieśmy się podzieli.»

»O zepewne,» odrzekłem, a w tém już słychać go było, jak macał po drzwiach i wołał nas. Zosia milcząc pociągnęła mię w głąb sali, i usiedliśmy na krawędzi łoża. Wuj wołał nas po imieniu, ale Zosia dała mi znak, ażebym milczał, więc ani mruknąłem. Po daremném zatém wołaniu i usiłowaniu wysadzenia drzwi, grożąc a razem śmiejąc się za ścianą, odszedł. Kilka chwil jeszcze siedzieliśmy w milczeniu, trzymałem ją popod rękę, słyszałem bicie jéj serca i czytałem w jéj oczach, że nie byłem jéj obojętny.

Niech przepadnę, jeżli to nie była najpiękniéjsza sytuacyja na pocałowania! A jednak nie odważyłem się na tę s t r a ż p r z e d n i ą miłości. Ku sławie mojéj wyznać muszę, żem chciał już szczęścia doświadczyć, nadstawiałem niby od niechcenia usta, dowodziłem sobie, że głupstwem jest, nie korzystać z okoliczności, bojaźń

)(2

chęcią walczyły, już ostatnia odniosła zwycięstwo, jeszcze bliżéj przychyliłem usta, gdy jak na nieszczęście zerwała się Zosia i zawołała: »Chodźmy!« Przepadło wszystko. Wprawdzie postępowanie jéj nie ośmielało bynajmniej do tak porywczego kroku, wszelako nie byłaby się zapewne bardzo za całus gniewała, bo o to dziewczęta w duszy gniewać się nie zwykły, i byłaby przyjęła go tak cierpliwie, jak to w pół godziny poźniéj uczyniła.

Wyszedłszy tylnémi schodami, na dole zeszliśmy się z wujem. Gderał żartując i odszedł przebiérać się na bal, na który goście już zjeżdzać się mieli. Mnie zaprosił posesor, bym przed zupełnym zachodem słońca, poszedł z nim do oranżeryi, obaczyć kwiaty jego chowu, którego zaproszenie przyjąłem chętnie, w nadziei, że i Zosia pójdzie z nami; i nie zawiodłem się. Ciągle jeszcze żal mi było utraconego całuska i starałem się śmielsze postępowanie przybrać.

Weszliśmy do oranżeryi, gdzie już cokolwiek ciemno było. Stary szedł naprzód, pokazywał najosobliwsze kwiaty i nazywał je podług Lineusza. Ja szedłem za nim, prowadząc Zosię pod rękę.

»To *Trophaeolum majus*,« rzekł stary, »a to *Heliotropium Peruvianum*. Tam *Cactus grandiflorus*. Co wćpan mówisz na kwiat ten?« Twierdziłem, żem nic piękniéjszego nie widział i śmiało w oczy Zosi pojrzałem. »Proszę się dotknąć szérokich liści tego kwiatu, nie prawdaż, że jak aksamit,« rzecze znowu stary. Lewą ręką dotknąłem się kwiatu, prawą ramienia Zosi. »Prawda, że jak aksamit!« zawołałem. Zosia pogroziła mi paluszkiem od nosa.

»A jak się panu zdaje to piękne drzewko pomarańczowe?« zawołał stary. »Aż rozkosz patrzéć, jak kształtnie w górę się wznosi.« — Przyznałem, że drzewko bardzo kształtne, i w tém Zosię łagodnie w pół objąłem. Lubo serce biło mi z trwogi, lecz raz już postanowiłem sobie być śmiałym.

»Dla Boga! ktoś hyjacynty poprzewracał,« rzecze stary i schylił się wazony po przewracane popodnosić. Tym czasem tak się ciemno zrobiło, że zaledwo, aż ku samym ustóm zbliżony, twarz Zosi rozpoznać mogłem. Im ciemniéj było, tém odwaga moja wzrastała. Dość byłem już śmiały, a jednak nie gniewała się, postanowiłem więc wykonać arcydzieło śmiałości. Zamrużyłem oczy, przeżegnałem się w imię boskie, i dałem lekki całusek lubym usteczkóm dziewczyny. »Co pan robi?« rzekła z cicha i odwróciła się cokolwiek. Omal nie umarłem ze strachu.

»Wacławie!« zawołał głos, przed którym mimowolnie zadrzałem,« gdzież tak długo się bawisz?« Był to głos wuja, który, mnie szukał, by za pomocą moją ukończyć rozpoczętą toaletą. Obaj więc odeszliśmy (ja milcząc i lubo w ciemnosci ze spuszczonémi w dół oczyma), a ubrawszy się w suknie balowe, poszliśmy do salonów, gdzie zgromadzeni goście już na nas czekali. Nie zastałem jeszcze tam Zosi, bo i ona poszła się ubiérać i z wielką niecierpliwością oczekiwałem jéj. Jakże przyjęła śmiałość twoję? Pytanie to ciągle mi uwijało się po głowie.

Posesor wniósł grę l'hombra. Nic nie pomogło, musiałem grać z nim i z wujem. W gniewie przeklinałem wynalazcę wszystkich gier i złorzeczyłem kartóm. Z początku nie szło zle, ale gdy godzina jedna i druga minęła, a Zosia nie przybyła jeszcze, zaczęły karty z niecierpliwionemu migać się przed oczyma, za walety dawałem króle, raz nawet chciałem m a n i l ę przebić asem, co wuja mego słusznie gniewało. Ale kto był w położeniu takiém, że dziewczynę, która mu się podobała, widział tylko w negliżu, a potém oczekiwał przybycia jéj w świetnym stroju balowym, ten będzie miał mnie za wytłumaczonego, że mi chwile godzinami się stawały. Całe zgromadzenie balu nic mię nie zajmowało bez niéj, i śród gwaru otaczających mię osób, siedziałem przy kartach, samotnie, jak Arab na puszczy. Ale za przybyciem Zosi, czekanie moje jakże sowicie wynagrodzone zostało! Przybyła w całym blasku wdzięków, w całéj wytworności najsmakowniéjszego stroju! Oczy jéj nowym ogniem pałały, świéżem rumieńcem rozjaśniały jéj lice, a ulubione żyrafy, które w dużych fontaziach zdobiły jéj włosy, tak mi się

wydawały, jak promienie świętości, okrążające głowę anioła. Rzuciłem karty mniéj bacząc na przyzwoitość i pobiegłem do niéj. Była dobrocią, przyjemnością samą i nie gniewała się za skradzionego całuska..

(Dokończenie nastąpi.)

Miasta sławniéjsze i szczególniéjsze miejsca Galicyi.

Biécz.

Miasto w obwodzie jasielskim, nad Ropą, mające magistrat i 1600 mieszkańców. Miasto niegdyś grodowe, a podług Święckiego dawniéj piękne i obronne. Leży na górze, któréj sam szczyt zajmuje wieża z zegarem przy ratuszu. Domy w gotyckim smaku budowane. Miasto murem dawniéj opasane było, którego ślady zostały jeszcze. Południową stroną, pod samym zamkiem płynie rzéka Ropa. Klasztor z kościołem bernardynów stoi na drugiéj górze za miastem, zkąd całe tegoż położenie najlepiéj widzieć się daje. Kościoł parafialny stawiany w smaku gotyckim w pierwszéj połowie 16. wieku jest fundacyi Mikoł. Ligęzy, kasztelana wiślickiego, starosty bieckiego, którego ciało w tymże kościele pochowane, jak świadczy nagrobek alabastrowy z wyobrażeniem jego w pancérzu, również z alabastru, w postaci leżącéj wykutém, jak zwykle nagrobki rycerzów z wieku onego. Nagrobek ten dla osobliwości pisowni i szczególności stylu przytaczam:*)

Ysz kazdisz się thu na szwiath człowiek rodzi
Z rąk Pańskich w the thu niskoscz pielgrzymowa'z chodzi
Podobien w thym szinowi, kthori oicza szwego
Opuszczi z rozkazania ku dobremu iego.
A szadszy za zywotha na thym swoim grobie
Wszystkie dary czo mi dał wyliczałem sobie.
Naprzód mię urodziwszy w domu starozythnim
Opathrował i szczęscziem thak mogę rzecz zbythnim
A na dworze króliów szwiethnych naprzód szpacholęthy
Bylem chowam pothymem do dworzan przyięty
A w rychlim czasie chorąthwo nadworne mi dano
Z chorąthwa żydaczewskie zarazem przesłano,
Czechowskie Państhwo, w kielka liath Stharosthwo Biéczkie
A przythym Zawichoskie Państhwo tho nie wsziok'e
Fortuny, za liath młodich wieku dziszieyszego
Kiedim usziadł na stholczu Państhwa Wiszliczkiego
Przisla mi szmiercz przeth oczy i thak szię iey zdało
Abi pod thim halabasztrem schowano me cziało.

Um. Roku 1578. *maiąc lat* 48.

Znajdują się w tym kościele inne jeszcze nagrobki, między innémi czytać można napis na cześć Bartłomieja Kromera dziada Marcina. Marcin Kromer kanonik krakowski, a potém biskup warmiński, dziejopisarz i statystyk polski, tu urodził się i w szkołach tutejszych pierwsze brał wychowanie. Z nizkiego pochodzący stanu zasługami tylko stopień senatora otrzymał, co dowodzi, że w Polszcze nie miano wyłącznie względu na samo tylko urodzenie, jak niektórzy mylnie utrzymywali, lecz i zasługi popłacały.

W kaplicy najpiérwszéj, po lewéj ręce, znajduje się tegoż Marcina dotyczący się napis na blasze wyryty, wtedy kanonika krakowskiego. Jeden z obrazów prochem pokrytych, a znajdujących się na słupie pośrodku kościoła, pokazują za obraz naszego historyka.

Tu także urodził się Bogumił Krzystek, jezuita, rektor w kolegium praskiém, mąż uczony, zmarły w Krośnie r. 1622.

Przy kościele tym jest biblioteka autorów starych łacińskich i greckich. Biécz ma także instytut ubogich.

*) Mam go od W. Chwaliboga, który mi wiele notatek swoich, poczynionych w podróżach po Galicyi, udzielić raczył.

Zamek tutéjszy zupełnie spustoszony i tylko wewnętrzny rozkład komnat, tudzież schody starożytne, czém był dawniéj, zaświadczają. Z okien zamku piękny przedstawia się widok na okolicę górzystą, środkiem któréj daleko widzialna Ropa upływa.

Podług Naruszewicza mieszkało w tych stronach pokolenie sarmackie Brésów, od których część jedna Karpat wzięła nazwisko Beskidów, czyli Bieściadów. Od narodu tego mogła i nazwa Biecza pochodzić. Dotąd w niektórych dyalektach sławiańskich djabła biésem nazywają; czy nazwisko to nie pochodzi także od wyżéj wspomnianych Biesów?

Jazłowiec.

Miasto starodawne, a teraz podupadłe, nad Strypą, w obwodzie czortkowskim. Ma szkołę trywijalną i zamek niegdyś warowny, dziś spustoszony, na którym dotąd znajdują się napisy ormiańskie. Ztąd wnosić można, że przybyli do Polski Ormianie, musieli być lub założycielami, lub piérwszymi mieszkańcami Jazłowca.

Trafnie Wittman nazywa Jazłowiec *Palmira Podola.* Miasto to było gniazdem sławnéj rodziny Jazłowieckich, z tych Mikołaj starosta sniatyński, żyjący w 16. wieku, równie burzliwy jak waleczny, powziął był myśl śmiałą, lecz wielce korzystną dla Polski, zniszczenia Tatarów i opanowania Krymu. Myśl ta jednak spełzła na niczém. O synu Mikołaju Hieronimie mówi Siarczyński, że bitwy były dla niego igraszką, obóz domem, koń siedzeniem, odzieniem zbroja żelazna, tańce z Tatarami zabawą. Na nim r. 1607 wygasł dom Jazłowieckich, który gdyby się był dłużéj utrzymał, nigdy zapewne Jazłowiec nie byłby się był dostał w ręce Turków.

Turcy we Wrześniu r. 1671 opanowali to miasto, zagarnąwszy piérwéj i inne części Podola. R. 1674 wrócił Jazłowiec pod panowanie polskie, i buńczuki nie powiały w nim więcéj.

Tu r. 1683, jeszcze za panowania tureckiego, Jerzy Potocki kasztelan krakow. założył był obóz obserwacyjny w czasie wyprawy Jana III. pod Wiédeń i z tąd czynił szczęśliwe wycieczki za Dniestr pod Kamieniec, także wtedy w ręku Turków będący. Widać, że Jazłowiec wówczas już nie musiał być bardzo przez Turków osadzony i zapewne co do imienia tylko jeszcze w ich mocy zostawał.

Tu r. 1711 stał obóz polski pod dowództwem Ludwika Pocieja, hetmana w. lit., który tu wraz ze Stanisławem Chomętowskim, wojewodą mazowieckim i Humieckim, wojew. podlaskim, posłów tatarskich i tureckich przyjmował. Tu znajduje się nagrobek Mikołaja Gomułki, sławnego muzyka naszego 16. wieku, który umarł d. 5. Marca r. 1609. Podług Bentkowskiego pisał ón między innémi także muzykę do psalmów Jana Kochanowskiego. O nagrobku tym było już w tém piśmie wspomnienie.

Godna uwagi dla głębokości swojéj dotąd istnąca tu studnia, zwana studnią kochanków, z powodu tego, iż w niéj, jak niesie podanie, pewna uboga dziewczyna utopiła się, kochana bez nadziei od syna jednego z możnych właścicieli Jazłowca. W zimnéj wodzie studni ochłodziła serce rozpalone uczuciami niepozwolonéj miłości.

Nieszczęśliwa! już dawno trzyma świat za baśnie
Dzieje życia twojego, miłości twéj dzieje,
Lecz w czułém sercu, które twém wspomnieniem tleje
Nigdy dla ciebie litość niewygaśnie.

Baranów.

Miasteczko obwodu tarnowskiego, nad Wisłą, mające szkołę trywijalną i 1100 mieszkańców. Niegdyś majętność Rafała Leszczyńskiego, wojewody bełzkiego, pradziada króla Stanisława, dziś hrabiów Krasickich. Podług Starowolskiego zamek tutejszy był najpiękniejszym w sandomirskiem, w nim często król Stefan Batory przemieszkiwał. Teraz znajduje się tu piękny pałac.

Leszczyńscy będąc wyznania helweckiego, tu w 17. wieku swój kościół mieli. Baranów był wtedy siedzibą, z krajów obcych wygnanych różnowierców.

Baranów miał także drukarnią. Podług Węgierskiego była ona pierwotnie w Pińczowie, potém w Łaszczowie, Paniowcach, a nakoniec tutaj. Piérwszym drukarzem podług Bandtkiego był tu około r. 1625. Jędrzej Piotrkowczyk. Po nim drukował Jerzy Twardomęski około r. 1638. Tu r. 1628 w drukarni téj drukowano akta soboru sandomiérskiego po polsku i po łacinie, tu inne także pisma różnowierców wychodziły, jako to: Krzysztofa Pandłowskiego, Mateusza Ameryka, Andrzeja Węgierskiego, Bartł. Bytnera, Rafała Leszczyńskiego i innych. Podług przywiedzionego wyżéj Bandtkiego drukarnia baranowska ustać musiała r. 1648 po śmierci Jędrzeja Leszczyńskiego.*)

Tu d. 24. Marca r. 1656 Karol Gustaw z hetmanem Sepiehą bitwę stoczył.

Tyniec.

Miasteczko w obwodzie wadowickim, nad ujściem Skawiny do Wisły, na wzgórzu skalistém, z klasztorem niegdyś Benedyktynów, w kształcie zamku, gdzie teraz kolegium jezuitów. Tu była oraz stolica biskupa, niedawno do Tarnowa przeniesiona. Jest tu szkoła trywijalna.

Starożytność Tyńca czasów bajecznych historyi naszéj dosięga. Paprocki wspomniał o Wałgierzu hrabi na Tyńcu i o Heligundzie, któréj dzieje romansowe znane czytającemu światu.

Podług Bandtkiego jeszcze za Bolesława Chrobrego opactwo tynieckie fundowane zostało. Najwięcéj do założenia tego przyczyniła się małżonka jego Judyta. Samych benedyktynów sprowadził Kazimiérz 1. z Clugny we Francyi. Im winni jesteśmy piérwsze zaprowadzenie oświaty do Polski, upowszechnienie umiejętności czytania i pisania, oraz kulturę owoców uszlachetnionych.

Klasztor tyniecki był najdawniéjszym z benedyktyńskich, oraz najbogatszym, w Polszcze. Uposażanie instytutu tego królowie za zaszczyt sobie uważali. To dobre mienie benedyktynów dawało im sposobność wychowywania ubogiéj młodzieży i sprowadzania do swego księgozbioru kosztownych zabytków dawnéj literatury w rękopismach. Posiadający w najwyższym stopniu sztukę pięknego przepisywania, wiele arcydzieł starożytnych Greków i Rzymian w kraju rozszerzyli.— W czasach najpiękniéjszych opactwa tynieckiego pięć miast i 100 wsi do niego należało.

Fr. Wężyk w pięknym poemacie swoim: Okolice Krakowa tak wspomniał o dziejach Tyńca i o osiadłych w nim benedyktynach:

Nim przejrzał światłem wiary naród niegdyś dziki
Panowali w tym grodzie dzielne Toporczyki.
Przechowały podania acz mało dowodnie
I zdrady Heligundy i Walgierza zbrodnie.
Łatwiéj umysł pojmuje i serce dowierza
Temu, co tu zdziałała dobroć Kazimierza.
On rzucając dla tronu klasztorne zacisze
Tu ściągnął z nad Sekwany dawne towarzysze.
Benedykt był ich ojcem, prawodawcą, wzorem,
Przed nimi kościoł nauk długo stał otworem;
Oni światła czystego dociekłszy potęgi
Rozszerzyli chęć nauk, wiadomości, księgi i t. d.

Wielu sławnych ludzi mieściło w swém gronie zgromadzenie benedyktynów tutéjszych. Jana Łowczkowskiego opata, przyjaciela Jakóba Górskiego, uczonego naszego 16. wieku, nazywa Fr. Bohomolec człowiekiem wielce uczonym. Na wspomnienie między tutéjszymi opatami zasługuje także Stanisł. Sułowski, sekretarz króla Zygmunta III., mąż rozsądny, który opatem mianowany od króla w brew woli zakonu, mając sobie wzbroniony do klasztoru przystęp, takowy sprowadzoną z Krakowa siłą zbrojną i wytoczonémi działami wymusił. Buchowski akad. krakow. poeta uwieńczony, dzieł muzycznych autor i filolog, był kanclérzem opactwa w piérwszéj połowie 18. wieku. W tejże około r. 1742. był tu archiwistą i bibliotekarzem Kazimiérz Albrychtowicz, kilku panegiryków autor.

Bibliotekę tyniecka zawierała między innémi osobliwościami wiele dzieł ascetycznych kaligraficznie i z mozołą, trudną prawie do pojęcia, przez mnichów wieków średnich przepisanych.

Sławny jest Tyniec w konfederacyi barskiéj. Tu r. 1770 obwarowali się ci wale-

*) Ob. Bandtkiego historyją drukarń pol. Tom. 1. st. 40.

czni. Z tąd d. 2. lutego r. 1772 pod wodzą oficerów francuzkich, Choisi, Viomenila i Saillanta, konfederatom na pomoc przysłanych, zrobili wycieczkę na ubieżenie zamku krakowskiego. Z największą odwagą bronili się konfederaci w zamku tynieckim i jeźli ulegli, to tylko sile nader przewyższającej. Trafnie o zdarzeniu tém Wężyk w dziele wyżéj wspomnioném powiada:

Bacząc mury ze wszechstron wydane na groty,
Wiedząc jak liczne były przeciwników roty,
Jak nie wielkim gród taki uledz może trudom.
Dziwić się trzeba męztwu, lub zawierzyć cudom,

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

Pewna dama od dawna już życzyła sobie miéć pieska. Jeden z jéj wielbicieli przysłał jéj pięknego bonończyka, w obróżce z dzwonkami i przytem następujące wiérszyki:

To psię niech cię przekonywa
Jak są stałe me ogniwa,
Żem ci wierny jest niezłomnie,
Ile razy brząknie dzwonkiem
Szczeknie lub ruszy ogonkiem,
Chciéj luba pomyśléć o mnie!

Korzyści hemoroidów są niezaprzeczne, są one bowiem środkiem natury, która sama się ratuje, niepotrzeba zatém nigdy starać się gubić ich. Jeżli w istocie nie są ochroną od apoplexyi, niezawodnie uderzenie tejże wstrzymują a przynajmniej ociągają, często bywają ochroną od obłąkania i melancholii, gdy się otworzą i płyną są wielkim ratunkiem od napadów hypochondryi i bolów wewnętrznych.

Największa księga jaka kiedy wydaną była, ma wyjść w Londynie z końcem roku 1832. Nosi ona nazwę: Świątynia sławy bohaterów angielskich. Wysokość kartek wynosi 4 sążnie, szerokość sążni 2, a wielkość czcionek ma wynosić 1/2 stopy. Na zrobienie do téj księgi papieru, umyślnie wynaleziono machinę, odbijać się będzie prasą parową, miasto czernidła drukarskiego, użyta będzie farba złota. Mowią iż wydanych będzie tylko 100 egzemplarzy, ażeby zdobić celniejsze księgozbiory Anglii.

Ktoś obrachował, iż jeżli sztuki i umiejętności w téj proporcyi postępować będą, co dotąd, w przeciągu lat 5000 taka ilość książek istnieć będzie, że na założenie biblioteki kamienice miasta całego zaledwie dostarczyłyby dość miejsca. Na ustawienie tylko katologów książek trzebaby całéj kamienicy. Dzieła historyczne w takiéj ilości znajdować się będą, iż mało będzie lat 50 do przeczytania tychże. Wszystkie dzieła umiejętne tylko w kompendyjach wydawane będą, a pomimo tego przecież trudno będzie zyskać imię uczonego w ścisłém znaczeniu słowa tego.

W departamencie Garony we Francyi urodził się chłopiec którego nogi zupełnie kształt rąk mają. Rodzice mają projekt kazać uczyć go rękami grać na skrzypcach, a nogami na arfiej, i tak jeżdząc po świecie z tym podwójnym muzykiem, ukazywać go za pieniądze.

Teatr w Dorpat ma przezroczystą kurtynę, na któréj między aktami przedstawienia, publiczność śród muzyki cieniami zabawianą bywa.

Mody.

Luty.

Najmodniéjsze surduty zimowe są koloru wodnomodrego.

Na biletach wizytowych w Paryżu, nazwiska już nie bywają sztychowane, lecz każda litera á *jour* sztucznie żelazkiem wycinana.

Żaboty bardzo gęsto trefione, poczynają znowu wchodzić w modę.

Kolor jasno zielonawy, wodny, jest najmodniéjszym w sukniach damskich z szalów tureckich. Widzieliśmy suknią z szalu, który umyślnie na to przysłanym został pewnéj damie z Konstantynopola. Rękawy przy téj sukni były z białych blondyn; długie *à la Pingotte*, zdobione bufami z białego atłasu. Około gorsu ozdobioną była ta suknia kunami a osobliwie wplecach bardzo mocno wycięta. W wysokości kolan, także garnirowaną była tém samem futrem. Stanik gładki z tyłu sznurowany, a w kłębach po obu stronach płaskie sprzężyny.

Najmodniejsze stoliczki do robót damskich są z drzewa bambusowego, w środku tychże, w kształt worka bilarowego, znajduje się woreczek z aksamitu lub atłasu, a w około mnóstwo małych szufladek.

Najmodniejsza forma bižuteryi jest żołądź; żołędzie wiszące srebrne i złote na przemiany zdobią połkoszulki mężczyzn, kulczyki dam i t. p.

Na włoskiéj operze w Paryżu widziano pewną damę, która miała głowę ubraną *à la Judith* t. j. loki zwane *Tirebouchons*, aż na ramiona spadające. W około kapelusza z różowego strzyżonego aksamitu miała śrebrną szarfę, która po prawéj stronie kanią w górę wznosiła, po bokach wisiały srebrne kutasiki, trzy pióra wewnątrz kani, a cztéry zewnątrz kończyły całe to ubranie.

Futra i palatynki w ogólności wyszły z mody, zaś futrzane *Boa* (*dusiciele*) ciągle są w używaniu. — Owija się je kilkakrotnie około szyi, lub splna na przudzie pierscieniem.

Kapelusze atłasowe, podszywane aksamitem, najbardziéj używane są do negliżu, czasem bywają zdobione piórami. Płaszcze z kapuzami bardzo jeszcze spostrzegać się dają, a podszewka w nich zwykle jest innego koloru jak wierzch.

Szlafroki aksamitne, atłasem ubierane, ciągle jeszcze ozdobny stanowią negliż.

Do stroju rannego w Londynie używane bywają suknie materyjalne, a kolory ciemne, w szczególności zaś czarny, przebijają się najbardziéj między negliżami.

Suknie kaszémirowe, jeżli wysoko zachodzą pod szyję, mają długie rękawy, nawet pod najpiękniejszémi płaszczami i najkosztowniejszémi futrami noszone bywają. Jeżli zaś są płytko wycięte w gorsie i mają blondynowe rękawy, nawet na najświętniéjsze wieczory używają się.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.